



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Do tego doświadczenia trzeba niepospolitej zręczności. Weźmy pasek papierowy i ustawmy na jednym jego końcu,

na brzegu kominka, dużą monetę sztorcem, jak wskazuje rycina. Trzymając jedną ręką koniec papierowego paska, drugą uderza go się silnie i prędko. Jeżeli się to zrobi umiejętnie, papier wysunie się, a pieniążek pozostanie w tém samym położeniu na kominku. Jest to także skutek bezwładności, o której już mówiliśmy przy dwóch innych doświadczeniach. Papier tak szybko jest oderwany od monety, że nie ma czasu udzielić jój swego ruchu. Są ludzie tak zręczni, że umieją ściągnąć ze stołu serwetę, na której są ustawione różne przybory, talerz, szklanka, kieliszek, nie ruszając tych przedmiotów z miejsca.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

— Kawaler L'Eclair, zaszczyt mi czyni, gdy raczy w gospodzie dawnego znajomego się schronić! — odpowiedział dwornie Zawisza Czarny, dodając jednak:

— Acz wątpię, czy znajdzie tu konieczną dla siebie wygodę... A co to? — spytał, przerywając sobie Zawisza, gdy odbierający jego odpowiedź młody Władko z Woli, dworzani z Garbowa, po próżnych usiłowaniach zachowania powagi, wybuchnął śmiechem nareszcie:

— Ależ bo, szlachetny rycerzu, toć ten gość tam dach

wiecie nad sobą! — odpowiedział dworzanin i pobiegł dusząc się od śmiechu zanieść gościowi odpowiedź swego pana. Zawisza westchnął i rzekł:

— A oto, Złoty mój pacholiku, będziesz miał odpowiedź na wszystkie swoje pytania i podziwy, patrząc na tego rycerza, albowiem dowiesz się, czém jest dzisiaj na zachodzie rycerstwo, ten najszlachetniejszy, lecz teraz uwiędły kwiat ducha ludzkiego: rycerz ten jest modny rycerz, gdy we mnie i takich jak ja, przestarzałych już oglądasz!

Zawisza Czarny wypowiadał te słowa z żalem serdecznym, zamilkł, gdy drzwi roztworzyły się szeroko na ścieżaj, a w nich ukazała się postać, otulona od stóp do głów w różne ochronne opony, a nad głową jej chwiały się pokoszlawiony dach szafirowej barwy, niesiony na kiju ponad wchodzącym przez idącego za nim Władka, który wspinając się na palce i śmiejąc cicho, spoglądał z ponad wchodzącego na Zawiszę i jego giermka, przedstawiając im ten dach, z którego woda ściekała. A wtém uwiązł dach we drzwiach i coś w nim pękło, pan L'Éclair poskoczył, a spojrzawszy w górę ponad własny nos, krzyknął:

— O dobry Boże!... jakiż tu lud jest pierwotny jeszcze! oto niosą nademną deszczochron rozpostarty, gdy ja do komnat wchodzę! A zwińcież to, niezdary nieświadome i postawcie w sieniach, aby woda ociekła!

— Witaj mi, szlachetny rycerzu! — rzekł Zawisza Czarny, postępując naprzeciw gościu — i wybacz, że przy dzisiejszym natłoku w tem mieście, i coprawda z własnego mego niedbalstwa może, nie mogę ofiarować ci lepszego pomieszczenia nad komnatę, w której się znajdujemy, i to jeszcze raczysz może podzielić ją z mną i z moim giermkim, bo niema tu innego pomieszczenia!

— Niema? ach, smutna to rzecz, ale w takim razie do brze przynajmniej, że do ciebie, szlachetny rycerzu, trafiłem; zanim cię powitam, pozwól mi otrząsnąć się z deszczu, gdyż zmoczony jestem, jak pudel!

To powiedziawszy, rycerz L'Éclair począł rozpovijać się z pomocą własnego dworzanina, który nadbiegł, zdążywszy już konie umieścić. Zdjąwszy płaszcz ozylili opończę, gość ukazał się w „wapenroku” w połowie zielonej a w połowie czarnej barwy, a gdy zdjęto i „wapenrok”, ujrano znów lekką pół zbroję, i zaczęło się rozpovijanie go z długiego pokrowca, jakim owinięte były ozdoby szyszaka, i hełm cały, i ramiona, i głowa i twarz, z pozostawieniem tylko małych otworów na oczy. Następnie zdjęto szyszak i ukazała się głowa, owinięta „pątlikiem” a gdy rozwinięto „pątlík”, dopiero ujrano starannie utrzymaną przesiłczną fryzurę głowy i brody płowej barwy. Po zdjęciu rynsztunku, rycerz miał już na sobie tylko „jak” obcisły i pończochy bardzo wysokie, poprzymocowywane aż pod „jakiem” gdzieś wyżej, i trzewiki, ciżmy, o niezmiernie długich, zakrzywionych w górę nosach. Rozebrawszy się, pan L'Éclair przystąpił do Zawiszy Czarnego i ścisnąć się i całować z nim zaczął, aż wtém przy mocniejszym uścisku powiada:

— Otóż masz, trzysta kłopotów, sprzączka mi pękła... — przestali się zatem witać panowie, poczem giermek L'Éclair'a przyniósł puderko, w którym za roztworzeniem znalazły się wszelkie do szycia potrzeby i mnóstwo drobiazgów, jak sprzączki, spinki, guziczki, haftki i t. p. niezbędne a częstemu zepsuciu ulegające dodatki rycerskiej modnej toalety. Potém dano wieczernę codzienną pana Zawiszy Czarnego, który przeproszał, że niema w niej ani skowroków, ani jaskółek, ale gość uspokoił jego obawę, zapewniając z uśmiechem, iż jak zawsze w drodze wiezie z sobą kilka „delikatnych pasztetów” i trochę lepszego wina, co też zaraz z bagaży jego przyniesiono, jako i konfitury i cukierki. Następnie z tłomoka wyjęto parę najpotrzebniejszych pierzyn, a innych, rozbiegłszy się, dapożyczono na mieście i usłano przeciw rycerzowi łoża puchowe w téj saméj komnacie, bo innej wygodniejszej nie było, naprzeciw żelaznego tapczana, narzuconego kilku niedźwiedziami futrami o szkarłatném podbiciu, na którym leżał Zawisza Czarny, jak zwykle.

Złoty pacholik patrzył z osłupieniem na owe modne przybory rycerstwa, a pan Zawisza ze smutkiem. Cóż dopiero, gdy nazajutrz zaczęto fryzować i przypiekać żelazkami włosy i brodę rycerza, gdy w kilka godzin, do drugiego ubrania, otworzono całą kosztowną skrzynkę, pełną loków i bród przetróżnych barw i odcieni, rudych, czarnych, brunatnych, płowych, i gdy modny rycerz zaczął kilka razy dziennie, udając się na różne urozyste odwiedziny i przyjęcia, zmieniać te włosy i brody, a dla upiększenia figury w jedném miejscu wypychać się bawełną, a w inném sznurówką ścisnąć, tedy biedny Złoty pacholik, zapalony czciciel rycerstwa, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje i dlaczego boli go coś w piersiach, nagle rozplakał się na taką profanacyą rycerskiej godności. Ale gdy następnie w poufnej rozmowie modny rycerz zaczął skwapliwie a wprawnie cenić, oceniać i obrachowywać w przybliżeniu wartość konia i złotych podków, przeznaczonych na nagrodę turniejową, tedy młody Jaśko z Dębinki już tylko ręką machnął i przestał patrzeć na modnego rycerza, zajmując się jedynie swojego pana i swoim własnym do turniejów przygotowaniem. Ale jednocześnie ochłodził on z początkowego zapału swego do nich, zrozumiał to, co mówił mu Zawisza Czarny o potrzebie dowiedzenia meztwa bez brania nagrody, rozumiał, że podrzędna pod względem rycerskiej wartości urozystość taka miała zagranicznym rycerzom posłużyć tylko jako popis próżności i pole do następnych uczt i zabawy, gdy dla Polaków była surowym obowiązkiem okazania, do czego są zdolni.

W obec takich nowych pojęć i wyobrażeń Złotego pacholęcia, jakże dziwnie a prędko zobojętniały mu wymarzone i upragnione przez całe życie „zwycięztwa na królewskich dworach”. Ale jednocześnie częściej jego i uwielbienie dla brata ukochanego, dla Czarnego Zawiszy, wzmożła się jeszcze: ten ideał rycerskości nie zawodził go przynajmniej. A tymczasem nadszedł drugi dzień po Bożém Ciele. I ujrzał nareszcie młody chłopak na własne oczy wymarzone owe wspaniałości, widział dobrze, bo wjechał w szranki za swoim panem wśród innych Polaków, a ci wjechali najpierwsi i nie zeszli z pola aż ostatni, podnosząc walkę na nowo za każdy raz, gdy inni ustawali. Widział więc obok prostego, mimo szat królewskich, z chłopską wyglądającego Jagielly, widział zbliżka króla Zygmunta, który przebierał się kilka razy w ciągu dnia tego coraz jaskrawiej, jaśniał od błyskotek i klejnotów, miewał jeden rękaw lub połowę sukni inną niż druga, przybyszał zawsze najpóźniej, aby tem większe czynić wrażenie i wszystkie oczy na się zwracać. Widział rycerzy sławnych „obmacujących” się wzajem przed walką od stóp do głów, szukając „fortelu” czyli podejścia jakiegoś, któryby wpłynąć mógł na zwycięztwo. Widział tychże rycerzy, mdlejących przed rozpoczęciem walki, a to ze zbytecznego ścisnięcia sznurówkami, chociaż mdlejąc nie bledli przytém wcale, bo umalowani byli starannie bielidłem i czerwienią. I uczuł nareszcie Złoty pacholik, że walczyć z tym modnym tłumem o nagrodę tak mu upragnioną nie było walką zaszczytną, i że w takich czasach upadku rycerstwa być jego wzorem i przedstawicielem takim, jak Zawisza Czarny, było to prawdziwem poświęceniem się i powołaniem.

Stali też rycerze polscy i ich giermkowie, jakby zastęp meżów z innego świata przybyły, a na ich czele pan Zawisza Czarny w czarnej swéj zbroi, prostéj jak habit surowego mnicha, stali w szrankach, rozpoczynając walkę i wiodąc ją ciągle z każdym, kto się na to odważał, nie ustępując nigdy ani na chwilę, ale nie napierając nigdy, gdy przeciwnik słabnął i ustępować zaczynał: pozwalano mu się wtedy wycofać z honorem, i oczekiwano następnego. A gdy modni rycerze z zapałem, podnieconym myślą o nagrodzie, mocowali się z sobą po swojemu, Polacy z trudem wstrzymywali się od uśmiechu, patrząc na nich, a Złoty pacholik więcej niż dziesięć razy słyszał wtedy, jak jeden modniś mówił do drugiego:

— No, no, dosyć... bo żeby mi co nie pękło... — i znów Polacy podnosili musielni walkę ku uświetnieniu turniejów i dla uciechy królów, gdy tamci pzerwali ją z obawy o swoje sprzączki i haftki. Kronikarze powiadają o tym turnieju, że

Polacy, Zawisza Czarny, brat jego Jan Farurej, Dobek z Olśnicy, Mszczug ze Skrzynna i inni, wstąpili pierwsi w szranki, a ostatni zeszli z pola, a kiedy inni ustawiali, oni na nowo podnosili walkę."

Schodząc z pola ostatni, Złoty pacholik nie pamiętał nawet, co się tam stało z nagrodą turniejową, której zdobyć Polacy strzegli się starannie, aby się zagranicznym rycerzom nie narazić.

(d. c. n.)

WIECZOREM.

Dla „Gwiazdki z Małej Rusi“.

Na ślicznym błękitcie
Gwiazdki zajaśniały,
Rozsiane obficie,
Jako dowód chwały,
Którą winien Tobie,
Jak duży, tak mały.

Tyś nad naszą głową
Zwiesił błękit nieba,
I ztamtąd, Jehowo,
Dajesz co nam trzeba:
Ducha wznosisz w górę,
Ciału dajesz chleba.

Kiedy dla twój chwały
Gwiazdeczka jaśnieje,
I błękit wspaniały
Ukrywa nadzieje,
To szczęścia naszego
Zorza zajaśnieje.

I ty, „Gwiazdko” mała,
Coś nie na błękitcie,
Bądź mu zawsze stała,
Świeć Mu całe życie,
Pomnij moje słowa,
Pomnij, moje dziecię.

Nauczycielka.

Z ŻYCIA OWADÓW.

(Dokończenie).

Ozemże się to dzieje, że ta osa, tak silna i roztropna w innych wypadkach, daje się krzywdzić tak haniebnie, nie próbując nawet obrony, chociaż widocznie niebezpieczeństwo pojmuje i przewiduje, skoro widok rabusiów wprawia ją w niepokój? Ale wszakże i te ptaszynki, którym kukułka narzuca swoje piskłę, nigdy się nie bronią, choć żarłok w podobny zupełnie sposób zabiera na swoje korzyść pokarm przyniesiony przez matkę dla rodzonych dzieci, pasie się z ich szkoda, podczas gdy one z głodu giną. Byłoby w przyrodzie mnóstwo takich zagadek, niepojętych i nieroztrzygniętych, gdybyśmy na ich wyjaśnienie nie mieli tego jedyne go wyrazu: Opatrzność! Ród kukułczy wyginałby wkrótce do szczytu, gdyby wszystkie inne ptaki zmówiły się i nie chciały hodować opuszczonych piskląt; matka bowiem kukułka, z powodów niedostatecznie jeszcze wyjaśnionych przez naukę, sama jaj wysiadywać nie może. Lecz jeśli nas to dziwi, że kukułka wymaga podobnej usługi od ptaszek mniejszych i słabszych od siebie, o ileż bardziej zadziwiającym jest zuchwalstwo owjej drobnej muszki, która w podobnej sprawie zwraca się do silnej, drapieżnej osy. To tak wygląda, jakgdyby makolągwa powierzyła swoje piskłę staraniom jastrzębia. A jednak instynkt obu tych matek, tak różnych od siebie, i drobnej muszki i drapież-

nej osy, każe im spełnić zadanie na pozór całkiem przeciwne ich naturze, lecz prowadzące do celu, przez Mądrość Przedwieczną zakreślonego, gdyż Mądrość ta czuwa nad każdym stworzeniem żyjącym, stosownie do jego potrzeb, a wiele rzeczy, niezrozumiałych dla nas, ma na celu utrzymanie równowagi w wszechświecie.

Przypominacie sobie zapewne, czytelnicy, owe doświadczenia, które p. Fabre urządzał z pszczołami mularkami, chcąc zbadać bliżej osobliwszy, cudowny instykt tych owadów. I osy nie ustępują im wcale pod tym względem, one także trafiają do swoich gniazd, chociażby były przeniesione w pudełkach hermetycznie zamkniętych o parę mil, do miejsc prawdopodobnie nieznanymi, na przykład do ludnego miasta. Każda od razu pośród ulicznego hałasu, pośród wysokich murów kamienic, odnajduje od razu właściwy kierunek; jeśli ją tu przyniesiono od strony południa, to bez najmniejszego wahania lot swój na południe zwróci, jeżeli gniazdo jej pozostało w stronie północnej, polecą prosto na północ.

Próbował też nasz uczony najrozmaitszych sposobów, ażeby osy, wracające do gniazd, zdurzyć i oślamucić, nigdy mu się nie udało dokazać tego, zawsze trafiały od razu, bez najmniejszej trudności, do tego niewidzialnego punktu, gdzie znajdowało się wejście gniazda, zawsze szczelnie piaskiem zasypane. Jak wspominaliśmy wyżej, osa często powraca do tego miejsca i bez zdobyczy, nie wchodzi wtenczas do gniazda, tylko w szczególny sposób przesypuje piasek, oczyszcza go, odrzuca na stronę większe kamyczki, przesiewa go niejako. Prawdopodobnie ma ona na celu oczyszczenie wejścia, ażeby łatwiej mogła przebrnąć przez piasek i dostać się do środka. P. Fabre przypuszczał, że owad może tam kłaść jakiś znak tajemniczy, dla siebie tylko widzialny, pokrył więc znaczną przestrzeń piaszczystego gruntu gnojem, a wybrał gnoj dla silnej i wstrętniej woni; w razie bowiem, gdyby wardzanka miała się kierować węchem, z pewnością ją woń gnoju zmyliła i zbiła z tropu.

Sztuka nie udała się jednak wcale, troskliwa matka nie ulęknęła się cuchnącej warstwy nieczystości, przebiła ją w miejscu właściwym i zaniosła pokarm do gniazda. Uczony nasz gnoj odgarnął, a natomiast nałożył mchu, który skropił obficie silnie wonią eterem. Odurzający zapach widoczną przykrość sprawiał wardzance, brzęczała żałośnie, krążyła długo w powietrzu, w końcu jednak wstręt przezwyciężyła, śmiało utonęła w mchu i zwykłym wejściem zapuściła się w głąb podziemia. Instykt owadu nie dał się w błąd wprowadzić żadnym podejściem. Wreszcie p. Fabre dla dobra nauki popełnił prawdziwe okrucieństwo; ponieważ, według powszechnego mniemania, zmysły węchu i słuchu mieszczą się u owadów w rożkach, więc chcąc się przekonać, czy owad nie kieruje się którym z tych zmysłów, odciął mu rożki i wypuścił. Okaleczona wardzanka, nawpół oszalała z bólu, odleciała szybko, lecz w porze właściwej powróciła, niosąc zwykłą zdobycz i równie łatwo do gniazda trafiła.

Posłuchajcież teraz, jak bezsilnym okazuje się ten instykt w obec odmiennych warunków. P. Fabre wziął się na inny sposób, rozkopał zupełnie grunt ponad kryjówką wardzanki, zdjął z wierzchu grubą warstwę ziemi, cały długi kurytarz ukazał się w kształcie rowka, a biedna gąsieniczka, której dach zerwano z nad głowy, wystawiona na skwar słoneczny w swojej komórce, kręciła się niespokojnie, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Nadleciała matka; sądzicie może, że rzuciła się na ratunek dziecka? wcale nie, spadła prosto na to miejsce, gdzie był otwór, piaskiem zasypany, okazała zdziwienie, znajdując tam grunt twardy, zamiast ruchomego piasku i wszelkimi siłami próbowała wkopać się tam i szukać przejścia, bo według jej przekonania, przejście to, zarówno jak komórka, powinno być koniecznie znajdować się pod ziemią. Nie mogąc jednak dokazać tego, podlatywała, krążyła ponad rozkopem, widziała niezawodnie wszystko dokoła, lecz cóż na to powiecie? nie spostrzegła własnego dziecka w pobliżu, upierała się ciągle szukać go pod ziemią, a ponieważ niespodzianie znalazło się na miejscu odkrytym, więc go wcale nie poznała.

Tak, nie ulega to żadnej wątpliwości, biedna ta wardzanka, która pomimo tylu przeszkód, umiała zawsze trafić do swego malca, gdy pozostawał na swoim miejscu pod ziemią, teraz nie pojmowała, aby mogło być coś wspólnego pomiędzy nią, a tą gąsieniczką, leżącą tuż przy niej. Zbliżała się nawet do niej podczas niespokojnych swych poszukiwań, potraçała biedactwo łapkami, a instynkt macierzyński, ten instynkt tak cudowny w innych warunkach, teraz się wcale nie odezwał. Bo instynkt ten działa tylko według pewnego, z góry wyznaczonego i ściśle określonego planu, czynności jego następują jedne po drugich, tak prawie jak w nakręconej maszynie, instynkt ten nie ma nic wspólnego z zastanowieniem, z rozumem, i dla tego to zwierzę nie zna postępu, nie ma zdolności doskonalenia się, która jest wyłącznym przywilejem człowieka.

Możnaby naliczyć wiele innych gatunków oskopiających, a o każdym dałoby się dużo ciekawych szczegółów opowiedzieć. Wspomniemy tu tylko przytrafiającą się i u nas osę, zwaną pszczołojadem, *Philanthes*, bardzo szkodliwą dla pasiek, gdyż żywi swoje potomstwo pszczołami, tak, jak szerszenie. Tymczasem sama lubi miód, gdy więc pochwyti biedną pszczołkę, siedzącą na kwiatku i mającą już w żołądku zapas miodu, neliłotściwa ta drapieżnica wyciska z niej słodki przysmak, napawa się nim, a zamordowaną pszczołę zanosi do gniazda.

PANTERA AFRYKAŃSKA.

Pantera jest tak podobna do lamparta, że przyrodnicy uważają ją za odmianę tegoż samego gatunku. Zwierzęta te mają futro pięknie centkowane, tém tylko różnią się pomiędzy sobą, że pantera ma ogon dłuższy i futro nieco jaśniejsze. Obyczajami zbliżają się do wszystkich kotów, zwłaszcza do tygrysa, bo są nadzwyczaj drapieżne i krwiożercze. Łazą zręcznie po drzewach, napadają słabsze zwierzęta, nie tylko, gdy im głód dokucza, lecz dla przyjemności mordowania. Mieszkańcy Afryki mniej obawiają się napadu lwa, niż pantery lub lamparta, bo lew, dobrawszy się do bydła, chwytą jedną sztukę, pantera zaś ze dwadzieścia rozedrze, chociaż pożreć wszystkiego nie może, tylko broczy we krwi. Pantery i lamparty zamieszkują w Afryce, w Azji i na wyspach Sundzkich. Rysunek nasz przedstawia panterę afrykańską.

Bitwa pod Kircholmem.

Po śmierci Stetana Batorego, na tronie polskim zasiadł Zygmunt Waza, przez matkę swoją Katarzynę, córkę Zygmunta Starego, potomek rodu Jagiellonów. Do obioru tego króla przyczynił się głównie Jan Zamoyski, który w nim wielkie pokładał nadzieje. Zawiódł się jednak kanclerz, królewicz Zygmunt, następca po ojcu tronu szwedzkiego, daleko mniej dbał o Polskę, aniżeli o ojczystą swoją Szwecyę, a nawet o koronę polską starał się jedynie dlatego, aby sobie dziedzictwo po ojcu zapewnić. Szwedzi bowiem nie sprzyjali mu wcale z powodu, że naród ten wyznawał religią protestancką, a Zygmunt gorliwym był katolikiem. Na czele przeciwników jego stanął Karol Sudermański, protestant, i ten, pokonawszy Zygmunta, który po śmierci ojca udał się do Szwecyi, sam królem się ogłosił. Polska nie potrzebowała prowadzić wojny ze Szwecyą, tém bardziej, że zagrożona była z innej strony nieustannymi napadami Tatarów i Turków, lecz Zygmunt pragnął koniecznie utracony tron dziedziczny odzyskać, a dla osobistego interesu nie wahał się naród narazić na długą, sześćdziesięcioletnią wojnę. Dwukrotnie pobity przez Suder-

mana, gdy z wojskami polskimi wkraczał do Szwecyi, rozkazał Zygmunt staroście wendeńskiemu zaczepić Szwedów w Estonii.

Było to w r. 1600. Skorzystał z tego Karol Sudermański i wylądował z wojskiem na wybrzeża morza Bałtyckiego, chcąc zagarnąć Inflanty, które oddawna stanowiły jabłko niezgody pomiędzy Polską i Szwecyą. Przez lat kilka z rozmaitem szczęściem toczyła się walka w Inflantach, Szwedzi zdobywali zamki, Polacy je odbierali, sam król Zygmunt wyruszył na czele licznego wojska, chcąc zmierzyć się z nieprzyjacielem, ten jednak cofnął się roztropnie i do starcia nie przyszło. Dzielnie gromił Szwedów hetman Jan Zamoyski, lecz gdy zachorował, dowództwo objął Jan Karol Chodkiewicz. Nieraz też, gdy zwycięstwo przechylało się na stronę Polski, hetmani i inni dostojnicy przekładali królowi, aby korzystny pokój zawarł ze Szwecyą, on jednak za nic zgodzić się na to nie chciał, bo nie o korzyść dla Poski mu chodziło, lecz o odzyskanie tronu szwedzkiego. A z drugiej strony nie chciał król nawet dać pomocy wojsku, fundusze zebrane z podatków zagartywał na własne potrzeby, żołnierze nieraz cierpieli niedostatek, hetmani z własnej szkatuły żołd im wypłacać musieli. Ci zasłużeni mężowie łączyli bohaterką odwagę i geniusz wojskowy z poświęceniem bez granic, krew swoją, życie i mieme składali w obronę ojczyzny.

Tymczasem książę Sudermański koronował się pod imieniem Karola IX-go w r. 1604, a w rok potem postanowił wszystkimi siłami uderzyć na Polaków i ostatecznie zagarnąć Inflanty. Sam tedy osobiście wyruszył na czele 14,000 wojska, Chodkiewicz miał zaledwie 5,000 pod swoimi rozkazami, a ponieważ część znaczna stała załogą po zamkach obronnych, więc w polu mogło stanąć przeciw siłom szwedzkim tylko 2,400 jazdy i 1000 piechoty. Nie wahał się jednak hetman Chodkiewicz wystąpić do walki z potężną armią nieprzyjacielską na czele téj małej garstki walecznych wojowników.

Wojska szwedzkie, na trzy oddziały rozdzielone, wylądowały w trzech portach, pod Rygą, Rewlem i Parnawą. Karol chciał po drodze zabierać pomniejszych twierdze, a potem połączeniemi siłami uderzyć na Rygę. Szwedzi posuwali się ostrożnie, nie oddalając się zbyt daleko od wybrzeży i ukrywając się po lasach, tak, że Chodkiewicz, który szedł w ślad za nimi ze swoimi chorągwiami, nie mógł ich wywabić do otwartej walki. Dotarły więc wszystkie wojska Karola do Rygi i oblegać ją poczęły. Liczył na to król szwedzki, że ludność Inflant, po większej części niemiecka i protestancka, sprzyjać mu będzie. Jednakże mieszkańcy Rygi stawili mu dzielny opór, a jazda polska, stanowiąca załogę miasta, niemałe szkody wyrządzała oblegającym częstemi wycieczkami. Lecz nie zdołałaby zapewne przez czas dłuższy bronić się tak przemagającą siłą i położenie miasta było bardzo niebezpieczne.

Rozumiał to dobrze Chodkiewicz i postanowił bądź co bądź uderzyć na Szwedów i nie dopuścić zdobycia Rygi, twierdza ta bowiem była stanowiskiem nadzwyczaj ważnym, kluczem niejako całych Inflant. Zarządził tedy hetman 40-to godzinne nabożeństwo, całe wojsko przystępowało do stołu Pańskiego, potem wyruszyło pełne otuchy i zapału, a 26 Września r. 1605 stanęło obozem nad Dźwiną, o kilkanaście wiorst od Rygi, w pobliżu miejscowości, zwanéj Kircholmem, od starożytnego kościoła, zbudowanego niegdyś na wysepce, *Kirch-olm*, *Kirche* kościół, a *olm* wyspa. Lecz dawne łożysko Dźwiny wyschłe było wówczas w tém miejscu, woda popłynęła drugiem ramieniem, a wyspa połączyła się z brzegiem.

Król szwedzki, dowiedziawszy się o zbliżeniu Chodkiewicza, chciał wysłać przeciw niemu połowę wojska swego, lecz generałowie nalegali, aby wyruszył całą siłą. Znali oni dobrze waleczność jazdy polskiej i męstwo Chodkiewicza. Jeden odezwał się w te słowa: „Pierwej obaczysz, Najjaśniejszy panie, Dźwinę wstecz płynącą, niż wojsko hetmana Chodkiewicza uciekające z pola bitwy”. Usłuchał więc król doradców swoich, zawiesił obłężenie i z całą armią wyruszył w noc ku Kircholmowi. Chodkiewicz gotów był do bitwy, o świcie d. 27 Września wysłuchał Mszy Ś-tój w namiocie, dosiadł ko-



Pantera afrykańska.

nia i z wyniosłego pagórka przypatrywał się rozwijającym się w pobliżu szeregom szwedzkim.

Gdy Karol uszykował swoją armię, na byłej wysepce, wyprocedził i Chodkiewicz garstkę walecznych rycerzy swych na równinę i stanął naprzeciw nieprzyjaciela. Nie miał jednak król szwedzki ochoty rozpoczynać boju i stali tak przeciwniczy, spoglądając na siebie, przez kilka godzin, z obu stron tylko występowali nieliczni harcownicy i pojedynczo się ścierać, jak to było we zwyczaju w owych czasach. Przed rozpoczęciem walki przybyła też Chodkiewiczowi niespodziewa-

na pomoc, Ketler, książę Kurlandzki, wierny lennik polski, przyprowadził 300 dzielnej konnicy, i wpływ przebył Dźwinę w miejscu niezbyt głębokim. Miał tedy hetman 3,700 ludzi i stawał odważnie czoło 14,000 Szwedów.

Król Karol, widząc garstkę Polaków, począł szydzić i narzucać się z ich zuchwalstwem, co słysząc, Fryderyk książę brunszwicko-luneburski, który miał być zięciem króla, począł go upominać, aby nie lekcewał w taki sposób tych dzielnych hufców. Karol uniósł się gniewem i tchórzem go nazwał, a dotknięty tém do żywego książę, zsiadł z konia

i rzekł, że nie lękając się śmierci, pieszo pułk swój poprowadzi do boju i ucieczkę uczyni sobie niemożliwą. O południu dano znać królowi, że harcownicy polscy uciekają tłumnie, on zaś zawołał radośnie: „Czyż nie przepowiadałem tego!” Nie domyślał się jednak, że to był podstęp wojenny. Chodkiewicz wydał rozkaz harcownikom, aby tę trwogę udali, chciał bowiem tym sposobem wywabić Szwedów z wygodnej pozycji i powiodło mu się doskonale. Król kazał wojsku uderzyć na Polaków, gonąc ich i otoczyć, lecz w tejże samej chwili Chodkiewicz okrzykiem „Jezus Marya!” dał hasło do ataku i hufce polskie wśród odgłosu trąb i kotłów rzuciły się na nieprzyjaciela, który odrazu się zmieszał, gdyż zamiast gonić uciekających, musiał odpierać śmiałych napastników.

Wojsko składało się głównie z piechoty, która ustawiła się w potężne czwóroboki. Usaryja polska z pomocą Kurlandczyków rzuciła się z gwałtownością wichru na te szeregi, w piki uzbrojone, łamała je, wywracała, rozpraszała po polu wśród straszliwego zamieszania. Rajtaryja nie była w stanie osłonić piechoty i przyjść jej z pomocą, wkrótce też ogromna armia szwedzka w popłochu cofać się potężyła. Polacy nie ustawiali, lecz nacierali coraz żwawiej, siekli, kłuli, tratowali uciekających piechurów, a jazda szwedzka, zamiast opór stawiać, pierzchała także w nieładzie.

Szwedzi zaszli trupem pole walki, resztki rozbitej armii dopadły kościoła kircholmskiego i murów cmentarza, gdzie się zatarasowały. Niedługo jednak utrzymał się na tém stanowisku nieprzyjaciel, jazda polska wyparła go ztamtąd i dalej gonila. Straszna to była klęska, jak mówi pisarz współczesny, walka zamieniła się w rzeź prawdziwą, ściśnięto uciekających Szwedów pomiędzy Dźwiną i lasem, usiłowali oni tą drogą dostać się do morskich wybrzeży, do swoich okrętów, lecz nieliczne tylko niedobitki się uratowały. Gdy jedni padali pod ciosami nacierających z tyłu jeźdźców polskich, inni rzucali się do rzeki, usiłując ją przepłynąć i tonęli. Gdy Karol IX z rozpaczą w sercu wsiadał na okręt, hufce zwycięzkie Chodkiewicza, które go gnały aż do samego portu, uderzyły w trąby i kotły, żegnały go okrzykami tryumfu. Książę brunszwicko-luneburski przypłacił życiem swoje męstwo, nie uciekł z placu boju, lecz legł na nim trupem. Zginęło też oprócz niego mnóstwo generałów i starszyny, z 14,000 wojska, uprowadził król na okrętach ledwo tyle, ileby starczyło na uformowanie jednego pułku. Polacy liczyli 100 poległych i 200 rannych.

Jakób Sobieski na pogrzebie Chodkiewicza tak mówił o tém wielkiem zwycięztwie: „Bitwa Kircholmska, dzieło te wprzód rąk Boskich, a potem męstwa, dzielności i sławy jego na wszystkie narody i na wszystkie wieki, dziwowisko, nikomu w Rzeczypospolitej nie tajne. Dziwiają się podziś dzień cudzoziemscy hetmani i zamorskie kroniki. Kilkanaście tysięcy ludzi zbrojnych znieść tak małą garścią ludzi, z tak małą swoją szkodą; bardziej się temu potomne wieki dziwować aniżeli wierzyć będą.”

A jednak świetne to zwycięztwo żadnych trwałych korzyści nie przyniosło Polsce; król Zygmunt nie chciał zawrzeć pokoju z Szwecyą i królem jej, którego za buntownika uważał, chociaż mógł teraz otrzymać jakieby tylko chciał warunki. Jemu szło o to, aby Karol ustąpił mu tronu, a to było niepodobieństwem. Nie podpisano więc pokoju, a Szwedzi, wzmocniwszy się, długo jeszcze najeżdżali i trapiли naszą ziemię.

Jan Lubicz.

POWRÓT ZE WSI.

— Śpiesz się, śpiesz, Rozalko, już zmierzcha, a tu roboty co niemiara; trzeba jeszcze podłogę wyszorować i okno obe-trzeć z kurzu. Janek nasz przyzwyczaił się tam do czystości, niechże i w domu znajdzie nie bardzo brudno.

I Rozalka krzątała się żywo wespół z matką, myjąc okno, podłogę i szorując statki w ciasnej izdebce. Któż to jest ten Janek, ten gość oczekiwany? Janek jestto chłopczyk dwunastoletni, mały, szczupły blondynek, rodzony braciszek Rozalki. W tym roku całą zimę koklusz go męczył; choroba wymizerowała bardzo biedaka, i jeden z panów, któremu posługiwala Janowa, postarał się, by wysłać chłopca na wieś, na kolonie letnie. Jutro właśnie miał powrócić i na jego to przyjęcie mieszkanie przybierało postać odświętną.

Rozalka z niecierpliwością oczekiwała braciszka. Wychowanęj na ciasnej uliczce Powiśla, gdzie w tym samym domu, na tém samym podwórku całe życie spędzała, Janek wydawał się teraz inną jakąś poważniejszą osobistością. On tyle światła zwiedził, jechał i tramwajem, i koleją, z panami razem mieszkał, musiał się bardzo odmienić nasz Janek, myślała, czy zechce rozmawiać ze mną? I lezka zakreśliła się w oczach dziewczęcia. Nie dlatego, broń Boże, żeby miała zazdrościć Jankowi; owszem, ona tak była rada, wyprawiając braciszka w podróż daleką, rada była, że tam, jak mówiono, przyjdzie zupełnie do siebie, nie będzie taki chudy, cienki, nie będzie miał żółtej twarzy i czarnych kółek dokoła oczu; rada była temu, tylko pomyślała, że ona nigdy nie widziała i nie zobaczy tych różnych cudności: dużego lasu, łąk zielonych, ptaszków śpiewających na drzewach, i sama już nawet nie wie czego. Myśląc o tém, zasnęła w uporządkowanej izbie.

Na drugi dzień około południa jakiś pan odprowadził Janka. Jakżeż biło serce Rozalki, gdy zdaleka już spostrzegła brata! Ledwo go poznała, taki był zmieniony: urosł, zmężniał, twarz mu się okrąglą zrobiła, a opalił się, dostał rumieńców, jak nigdy w życiu. Ten pan powiedział, że przybyło mu 12 funtów; Rozalka nie wie, co to znaczy, lecz ciągle podziwiała, to błyszczące oczy chłopca, to jego wesołą, ożywioną minę. Matka ścisła jedynaka i ze łzami dziękuje obcemu panu, że jej takiego zdrowego, czerstwego syna oddaje.

Obawy Rozalki znikły. Janek wcale nie zdumniał, owszem serdecznie ucałował siostrzyczkę i zaraz zaczął opowiadać, co to on widział i słyszał na świecie. A nie tylko matka i siostra go słuchały: z całego domu poschodziły się sąsiadki, dzieci, i Janek stał się nagle bohaterem w tym niskim drewnianym domku. Rozprowiał więc z ożywieniem, odpowiadał prędko na zadawane ze wszystkich stron pytania, jak to tam myślano o ich przeżyciach, jak nigdy głodny nie był i codziennie mleko dostawał. A kąpał się dwa razy dziennie w rzece czystej, jak szyby w matuliniej izbie, nie takięj mętnej, białej, jak w Warszawie; na spaceru rano i po południu chodził, do lasu po jagody, na orzechy i grzyby; jadł śniadanie, i obiad, i kolacyą, a koszulę czystą dwa razy na tydzień dostawał.

Słuchano, podziwiano, i niejedna matka westchnęła, że to nie jej dziecko takie szczęście spotkało, a Janowa promieniowała radością, patrząc na jedynaka, jak raźnie opróżniał miskę barszczy i kartofli, on, co na wiosnę łyżkę stawy z trudnością przełykał.

— Co ja ci tu dam jeść — mówiła dobrotnie — po takich frykasach nie ci pewno smakować nie będzie.

— O, wszystko, wszystko, mam, aby dużo, ja teraz tak dużo jeść mogę i wszystko mi smakuje — wołał Janek, a matka mimowoli westchnęła, pomyślawszy, że na dużo jedzenia i wiele pracować trzeba.

I na wiele dni jeszcze, na wiele tygodni starczyło Jankowi materiału do opowiadań. Z całego ich domu, z drugiego, z trzeciego nawet zbierały się dzieci, a Janek im prawil, opowiadał, mieszając często rzeczowistość z utworami własnej fantazyi, aby się lepiej wydało. Cały świat zjawisk nieznanych roztaczał przed małemi słuchaczami swemi: opowiadał, jak się to na wsi żniwo odbywa, jak zboże na polach się kosi, potem w snopki wiąże i w kopy układa, i na ogromnych wozach do stodół zwozi. Opisywał łąki zielone ze stadami gniaznych krówek i białych owieczek, co się na nich pasą. Las, las prawdziwy, wielki las bez końca, szczególnie zajmował słuchaczy i rozogniał ich młodocianą wyobraźnię.

— A widziałeś tam, Jasiu, takiego niedźwiedzia, jakiego tu u nas w przeszłym roku prowadzili?

— No, nie widziałem, ale mogłem przecież widzieć, bo czego tam w tych lasach niema. Wiewiórkę, to widziałem naprawdę.

— Wiewiórkę? a jak ona wygląda, gdzieś ty ją widział, czy gryzła orzechy? — pytano z zaciekawieniem, a chłopiec opowiadał bez końca. Razu jednego poszli wszyscy z opiekunem do lasu na jagody, a potem dostali po całym talerzu takich czerwonych jagódek z mlekiem, jakie w Warszawie tylko „państwo” jadają.

— A dobre były?

— O, dobre, słodziutkie jak cukier — i niejedno z dzieci slinkę połykało. — Uczył nas pan także śpiewać pieśni śliczne, różnymi głosami wszyscy razem śpiewaliśmy — i na żądanie słuchaczy musiał Janek śpiewać wszystkie piosenki tyle razy, aż je wyśpiewać umiano. Rozalka dumną była z brata, i sama też stała się ważną osobistością, bo nasłuchawszy się opowiadań, potem na własną rękę powtarzała je towarzyszkom.

Od czasu powrotu ze wsi, Janek zmienił się bardzo: nigdy już teraz z brudnymi rękoma do obiadu nie przyszedł i na Rozalkę wołał, aby ręce częściej i porządniej myła; już czapki, surducika nie rzucał po izbie, lecz na jednym gwoździu zawsze je wieszał. Sam nigdy nie „wymyślał” jak dawniej, i raz surowo przestrzegł towarzysza, gdy brzydkimi słowy siostrę swoją lajał.

— Jaki mi się paniczyk zrobił! — zawołał ten szydyczko, ale zaprzestał kłótni, a może i w przyszłości jej się wystrzeżał.

Wspomnienie chwil, swobodnie na wsi spędzonych, na zawsze pozostało w umyśle chłopczyny. Marzył, że może i na przyszły rok pojedzie, że może zabrają i Rozalkę, i małego Stefusia z krzywymi nóżkami, i bładą Wiktorę z przeciwka. A gdyby tak zabrać wszystkie dzieci znajome, dopieroby to wesoło na wsi było!

Życzę Ci, mały Janku, aby twe marzenia, jak najprędzej się spełniły, aby przyszła chwila kiedy ani jedno z dzieci lata w Warszawie spędzać nie będzie.

Jadwiga.

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

— Jakież pan jesteś dobry! a jaki śliczny! — powiedziałem, nie wiedząc prawie co mówię, a patrząc na niego z zachwytem, gdy niósł mi pomoc tém miłszą właśnie, że śliczny był a taki dla mnie uprzejmy; mocny zapach, którym on mię skrapiał z faszeczki, poprostu przytomność mi wracał. Na mimowolne owe moje wyrazy, młodziutki podporucznik zaochwiecił się tak okropnie powyżej uszu, że odrazu zrozumiałem, iż musiałem powiedzieć niewłaściwość jakąś. Ale on był taki śliczny, taki biały i różowy, tak mi przypominał żywo moją najstarszą siostrzyczkę, że zawołałem bez namysłu, serdecznie, jakbym się z nim znał przez całe życie:

— O Boże mój! czemu ja obraziłem pana?... powiedz tylko, a bez żadnego wstydu przeproszę, jak jaką dobrą dziewczyneczkę... — mało brakło doprawdy, abym tak uczynił, a wtém podporucznik zrobił bardzo poważną minę i rzekł znowo, choć oczy mu gniewem błyszczały:

— Zwykle to są następstwa pierwszego zapoznania się z naszą atmosferą rybacką, jednakże przyzwyczajenie zaradzi temu wkrótce — i odwrócił się, a mnie jakby zimną wodą oblało to jego obejście... chciałem wstać, aby zaniepokoj-

nemu ojcu pokazać, że osłabienie moje już przeszło, a wtém potknąłem się o linę i byłbym upadł, gdyby ten sam młodziutki marynarz nie schwycił mię znowu, pomimo że niby nie zważał już na mnie. W tój chwili kapitan zajął ojca rozmową, a ja schwyciłem za rękę owego młodzieńca, pytając uparcie:

— Proszę uprzejmie, chciój mi pan powiedzieć, co w poprzednich moich wyrazach było tak niegrzecznego, że odwróciłeś się pan odemnie?...

— Ech, do stu milionów bomb! coby miało być! — odburknął, zacinając zęby — postawiłbym ja pana na swoim miejscu, i dałbym ci narzeczoną, i kazałbym ci wydawać rozkazy starym wilkom morskim, i dałbym ci taką przekłątą twarz dziewczęcą, i takie rączki obrzydliwie małe i dopiero spytałbym, czy ci dobrze, gdy cię kto ślicznym nazywa i przyrównywa do dziewczynki!... ach!...

— Aha!... — rzekłem — teraz już rozumiem; istotnie położenie jest fatalne, bo taka powierzchowność szkodzi powadze; ale przecież wiatr i słońce, i słona woda morska prędko na to poradzą, żebyś nie był tak bardzo delikatny, i biały, i różowy.

— Ale gdzietam — odrzeczę on ze łzami prawie — tak to i ja myślałem i dlatego wyprosiłem się na tę obrzydliwą służbę tu na północy, myślałem, że jeżeli gdzie, to tu przecież zczernieję, schudnę, nos mi się wydłuży, oczy wpadną, nauczę się ssać tytoń i przeciw stanę się do mężczyzny podobny, a tu nic i nic, a jestem tu już przeciw kilka tygodni od samego otwarcia żeglugi tegorocznej w północnych stronach. To już widać taka u mnie natura szkaradna, ani się nie opaliłem nawet...

— No, jednakże poczekawszy, musisz nareszcie zbrzydnąć i postarać, tylko bądź cierpliwym — pocieszałem go.

— Aha — odpowie — a tymczasem dziadus każe regularnie dwa razy do roku bywać z cukierkami u narzeczonej na pensyi, a tam kilkadziesiąt koleżanek wyśmiewa się z biedaczki, że ma *lalusię* za narzeczonego, że będzie panią Lalusiową... biedna dziewczyna aż się łzami zalała, gdy mi opowiadała o tych drwinach, a mnie szłał ogarnął ze złości, miałem ochotę porozdzierać wszystkie złośliwe pensyonarki, te bębny szkaradne... i przyrzekłem mojej narzeczonej, że na to poradzę, że za pierwszym widzeniem jej będę już do mężczyzny podobny, i po to wyprosiłem się na tutejszą służbę, ale nic, i nic nie pomaga!... ach ja nieszczęśliwy!

— Że drwiny znosić i to jeszcze od pensyonarek nie jest rzeczą przyjemną, to szczerą prawdą — powiedziałem, współczując serdecznie z biednym marynarzem — ale to pocóż było ci zaręczać się z pensyonarką? czy dziadus ci kazał?

— Ej — rzecze marynarz, rączką białą kiwając — on nie kazał, tylko sam nas zaręczył już ze dwadzieścia lat temu!...

— Dwadzieścia lat? a wiele ty masz lat i ta pensyonarka? — pytałem zdumiony.

— Ja mam szesnaście a ona ma dwanaście, ale dziadus jeszcze w dniu ślubu naszych rodziców zapowiedział, że ich dzieci pozaręcza, jak tylko je Pan Bóg da, bo taka to przyjaźń była pomiędzy naszymi rodzinami.

Rozmowa z młodym marynarzem tak mię zajęła, że aż przytłumiła przykre uczucie, jakiego zrazu doznałem. zbliżając się do Wadso, a tymczasem już przyzwyczajałem się do obrzydliwej atmosfery, chociaż ta stawała się coraz gorszą, w miarę zbliżania.

— O!... ależ to matka nic nie przesadzała, mówiąc o tój podróży, i czy to tak wszędzie jest tutaj? — pytałem.

— Tak jest naokoło każdej tutejszej osady handlowej nadbrzeżnej — rzekł mój młody przyjaciel, Eddy Cornwill, jak nam został przez kapitana przedstawionym. — Każda taka osada ma za główny przedmiot handlu ryby, jak w tych stronach, to wieloryby, a tam dalej więcęć łowi się wątlusz, czyli tak zwany pospolicie stokfisz, chociaż ta nazwa stosuje się już do ryby tój po ususzeniu główne. Ryby, jak wiadomo, odznaczają się mocno niearomatyczną wonią, gdy przechodzą w stan zgnilizny, a w takim to stanie muszą one otaczać

w niezmiernych ilościach każdą tutaj osadę, ztąd ta zabijająca atmosfera, którą wszystko jest na wskroś przejęte.

— No, mówiła mi o tém matka — powiadam — ale nie wyobrażałem sobie, aby to było tak bardzo niemiłe.

Tak gawędząc, rozglądałem się po Waranger-fiordzie i ziemi, do której dążył nasz statek. Po prawej stronie fiordu czyli zatoki, jakie tu naokoło głęboko wrzynają się w wybrzeża norweskie, ukazywały się w oddali góry, a to jest prowincya Sydwaranger zwana, do której my nie mamy żadnego interesu i dla tego zbliżaliśmy się do przeciwnych brzegów fiordu. Brzegi te po lewej stronie, wzdłuż których płynęliśmy zwolna, były skaliste, nagie, poszarpane i niezbyt dostępne.

Od czasu do czasu ukazywał się na nich jakiś pojedynczy dom z zabudowaniami, i znowu następowała pustka skalista, a to znaczy, że te strony są bardzo ludne i zamieszkałe. Narzeczcie ukazuje się ogromna istotnie budowla, a koło niej sporo innych, przy większém jednak zbliżeniu pokazuje się, że te inne, to nie są wcale budowle żadne, tylko wieloryby ogromne. Widziałem ją nieraz te potwory, ale tu dopiero poznałem je naprawdę. Gdy Eddy (mówiliśmy sobie ty przed przybiciem do brzegu jeszcze) zaczął mi w miarę zbliżania się wskazywać i objaśniać, że „i to, i tamto, i tu, i tam, to są wieloryby”, zaczęło mię ogarniać przerażenie i obrzydzenie zarazem.

Wadso jest bardzo ważnym rybackim portem, chociaż mieszkańców liczy zaledwo około półtora tysiąca, ale znaczenie jego na tém zależy, że nie zamarza wcale w zimie. To też przedsiębiorcy, którzy tu się osiedlają, robią ogromne majątki na wielorybach mianowicie. Leżało tam tych bestyj (przepraszam za wyrażenie, ale ono maluje przedmiot) piętnaście, wyraźnie piętnaście sztuk, długich mniej więcej na jakie, lekko licząc, czterdzieści łokci i więcej. Każdy leży na urzędzonej i obmyślonnej umyślnie ku temu potężnej platformie, która daje się pochylać, a jednego właśnie pakowano na taką platformę w chwili, gdyśmy się zbliżali; takie wkładanie potwora na ten potworny stół, na którym ma się go oporządzać, musi odbywać się w chwili przypływu morza, inaczey nikt rady nie dałby tej okropności.

Mnóstwo więc ludzi i łodzi zajętych było tą robotą, a tymczasem statek parowy rybacki wchodził tuż za nami do portu, holując świeżo ubitego wieloryba, z dziesięć zaś najmniej już było w porcie, czekając na kolej swojej. Wytrzeszczałem oczy z podziwem, ale i ze wstrętem, podobnym do trwogi, na te masy straszne cielska, te góry tłuszczu, tak, że zapomniałem prawie, co się dzieje ze mną samym, aż mię ojciec i Eddy popychać musieli przy wyładowaniu, dośe niewygodnym co prawda, bo tu wszystko obrachowano na zysk i wygodę w robocie z wielorybami, ale nie pomyślano prawie o ludziach. Zaczęliśmy przechodzić pomiędzy platformami. To, co zdaleka wzięłem za wielki budynek, było w istocie kilku ogromnemi, większemi jeszcze niż sądziłem budowlami, zajętemi na same wieloryby wzdłuż portu. Budowle mieszkalne są troszkę dalej.

— Połów niezły jest tego lata, wcale niezły — mówił Eddy.

— A jakież jest najlepszy? — zapytał ojciec. Eddy zamyslił się:

— Około czterdziestu wielorybów w najlepszym roku przyprowadza nam najlepszy statek, o najlepszej załodze — odpowiedział.

— Dobrze, a najgorszy?... — spytał ojciec...

— E, niezdara to i dziesięciu nie przyciągnie — powiedział.

— Jakto niezdara? — rzecze ojciec.

— No, taki, co nie ma szczęścia — odpowiedział. Ojciec rozśmiał się:

— A statki są własnością prywatnych przedsiębiorców — rzekł — to już wiem. Lecz wieleż może kosztować taki statek?

— Parowiec mały rybacki „z armatą”, około dwóchkrot (200000 złp.)

— A każdy, jeżeli nie jest niezdara, może przyprowadzić w przecięciu trzydzieści wielorybów przez lato — mówił ojciec, notując w pamięci — a wartość wieloryba?

— Dziesięć do dwunastu tysięcy złotych.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

(Od Nuni z Kącika dla Nuni z Poninki).

W jednym dłuższym wyrazie dwa krótsze się mieści,
A jakie, może zgadniesz z załączonej treści:

Pierwszy służy poezyi i nauce gwoli,

A drugie, gdy ukasza, to okropnie boli;

Wszystko razem daje dym,

Otóż macie treść i rym.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Od Czereśni dla Iskierki).

a—ciec—ci—da—dyk—hojsk—in—ka—ki—la—lo—na—na—nas—oj—sa—tar—wor. — Z tych zgłosek ułożył wyrazy: 1. Wędlina. 2. Starożytne miasteczko na Litwie. 3. Najbliższy krewny. 4. Przedmiot służący do pakowania. 5. owoc. 6. Dziwy. 7. Choroba. 8. Ptak domowy. Pierwsze litery od góry do dołu utworzą nazwisko sławnego poety XIX wieku, końcowe od dołu do góry bajkopisarza z XVIII wieku.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 40-go.

Szarady:

Ku — kuł — ka.

Łamigłówki zoologicznej:

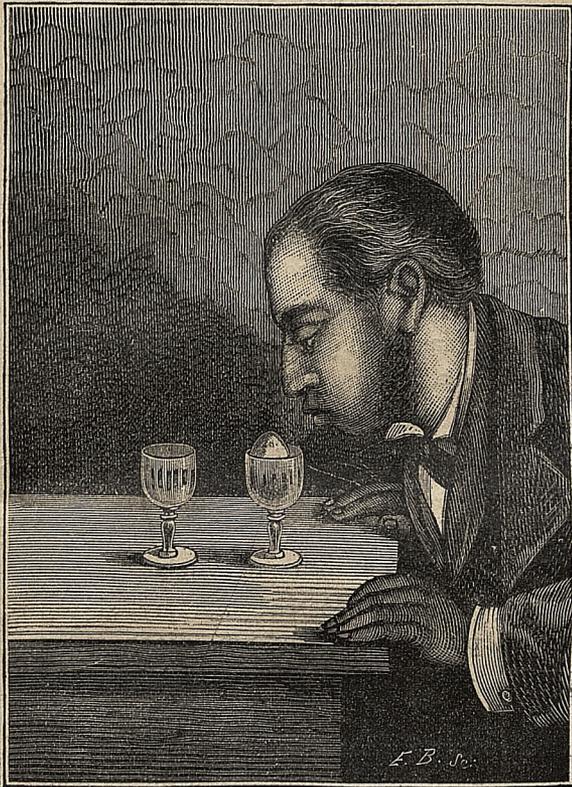
m	c	s	s	k	b	k
y	h	t	l	o	e	r
s	a	r	e	n	k	a
z	r	u	d	i	a	b
y	t	ś	ż	e	s	y

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Wieczorem, wiersz p. Nauczycielkę. — Z życia owadów. — Pantera afrykańska (z drzew.) — Bitwa pod Kirchholmem p. Jana Lubicza. — Powrót ze wsi p. Jadwige. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Sztuczka wujaszka (z drzew.) — Niezgoda (bajka) p. Pegaza skrytyk dlatego. — Za przystługę obrona p. C. Falkowską. — Królowa perłowego pałacu. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

SZTUCZKA WUJASZKA.

Mania stawiała domki z kart na stoliku, co ustawiła drugie piętro, to zaraz braciszek jój Leonek zbliżał się do stołu, dmuchnął nieznacznie, a domek się przewracał. Za pierwszym razem Mania nawet nie spostrzegła tego, sądziła, że to ona sama trąciła domek przez nieuwagę, ale gdy Leonek drugi i trzeci raz wyrządził jój tę samą psotę, zawołała z wyrzutem:

— Jakiś ty niedobry, Leonku, pocóż mi przykróść robisz?



Sztuczka wujaszka.

— Cóż ja ci robię? — odrzekł figlarz — popatrzałem tylko na twój domek. Czemuż nie ustawiasz dalej?

— Popatrzałeś! widziałam ja dobrze, żeś to ty mi zwałił domek.

— Ja zwałilem domek? nawet stolika nie dotknąłem ręką.

— Ba! ale dmuchnąłeś i domek się wywrócił. Ja się na ciebie nie gniewam, bo wiem, że to nieładnie na braciszka się gniewać, ale...

— Ale ja ciebie przepraszam, siostrzyczko — zawołał Leonek, zawstydzony jój dobrocią — daję ci słowo, że nie będę więcej dmuchał, usiądę tu sobie z daleka i teraz naprawdę już tylko popatrzę, czy ci się uda domek.

— O, to dobrze — odpowiedziała Mania — możesz nawet tu przy stoliku usiąść, byleś nie trącał, będziemy sobie rozmawiali. Wiesz co, gdyś ty dmuchał na mój domek, ja sobie myślałam: co to jest takiego takie dmucha-

chanie? Bo ty naprawdę nie dotknąłeś nawet stolika, a przecież tak zupełnie się zrobiło, jakgdybyś trącił domek. Patrz, teraz ja sama spróbuję, niewielka rzecz, że domek upadnie, fu, fu, fu! Czy to coś takiego z ust wychodzi i potrąca karty? ale nie, bo nic a nic nie widać.

— Ach, jakaż ty jesteś zabawna, moja Maniu — rzekł Leonek — toż nic innego, tylko wiatr się robi, gdy dmuchamy, czyż ty tego nie rozumiesz?

— Prawda, to mały wiatr. Ale cóż to jest takiego wiatr?

— Toż dopiero pytanie! — zawołał Leonek, śmiejąc się — nie wie, co to wiatr!

— A jeżeli ty wiesz, to czemuż nie wytłómaczysz siostrzyczce? — odezwał się wujaszek, który siedział z gazetą na drugim końcu pokoju i dosłyszał rozmowę dzieci.

— Cóż ja mam jój wytłómaczyć? — mówił Leonek — czyż ona sama nie rozumie, że wiatr, to tak coś dmucha na dworze, aż drzewa się kołyszą i szumią, a czasem i kapelusze z głowy spadnie od wiatru.

— To wszystko dobrze — rzekł znów wujaszek, zbliżając się i siadając obok dzieci — nie powiedziałeś jednak, co to tam na dworze dmucha.

— A czy ja wiem? kto to może wiedzieć?

— Czemuż więc wyśmiewałeś się z Mani, skoro i sam nie rozumiesz tego, tak samo, jak i ona?

— Bo te dziewczyny, to zawsze takie ciekawe...

— Już to powiem ci, mój Leonku — rzekł wujaszek z uśmiechem — że taka ciekawość jest bardzo chwalebna, i u dziewczynek, i u chłopców. To dowód, że Mania się zastanawia i uważnie patrzy na świat Boży. Niema człowieka, któryby rozumiał wszystko, co widzi, ale tylko ludzie bezmyślni niedbają o to i nie starają się nawet, aby cośkolwiek zrozumieć i nauczyć się czegoś.

— A wujaszek, to musi doskonale wiedzieć, co to jest wiatr, i nam wytłómaczy, nieprawdaż, wujaszku? — mówiła Mania.

— Bardzo chętnie — odrzekł wujaszek — ale Leonek pewnie słuchać tego nie zechce, bo nie jest ciekawy.

— Niech już wujaszek ze mnie nie żartuje — rzekł Leonek — ja sobie tak powiedziałem, na wiatr.

— Na wiatr, a nie wiesz, co to wiatr!

— Zaraz się dowiem, niech wujaszek tylko zaczyna już opowiadać.

— Dobrze, zaczynam. Czy wiecie, co to się robi z wodą, gdy płynie w rzece? czy nie próbowaliście wrzucić do strumyka lekkiej gałązki, lub kwiatka? Co się z tą gałązką lub z tym kwiatkiem robi?

— E, to przecież łatwo zrozumieć — zawołał Leonek — ta woda się porusza, tak zupełnie, jakgdyby biegła, i gałązkę ciągnie za sobą.

— To tak, jakgdybym ja biegła po ścieżce w ogrodzie i gałązkę trzymała w ręku — dodała Mania.

— Otóż macie wyjaśnienie zagadki — rzekł wujaszek — gdy powietrze płynie, tak jak woda w rzece, to ztąd wiatr powstaje, porusza liście i gałęzie na drzewach, drobne słomki unosi z sobą, a silny wiatr może też wyrwać z korzeniem i unieść drzewo całe.

NIEZGODA.

bajka.

Dwa koty pewnej nocy jedną mysz złapały,
I zaczęły się kłócić, w dwie ją ciągnąc strony,
Bo każdy z nich dla siebie chciał mieć kasek cały,
Porzuciły ją w końcu, tocząc bój szalony.
A wtém jakiś kot trzeci z za węgła wypada,
I leżącą mysz owę smacznie sobie zjada.
Taki to sens moralny w tój bajeczce, dzieci:
Tam gdzie dwóch się pokłóci, wnet korzysta trzeci.

Pegaz skrzydlaty.

Za przysługę obrona.

Kazia z Mirosławkiem przechadzali się raz po lesie na letniém mieszkaniu. Wtém na zakręcie drożyny zobaczyli starą kobietę, niosącą drzewo w płachcie na plecach. Biedna staruszka ugiwała się pod ciężarem i co chwila opierała się o drzewo.

— Patrz, Mirku, jak ta kobieta dźwiga ciężar, trudny do niesienia w jój wieku.

— To nasza sąsiadka Janowa, ja ją poznałem z daleka — rzekł Mirek.

— Braciszku, pomóżmy jój zanieść to drzewo.

— Jabym pomógł, ale śmiać się z nas będą, jak spotkamy znajomych.

— Czyż ludzie rozsądni i dobrzy mogliby się śmiać z tego? wszak to będzie dobry uczynek.

— Masz słuszność, siostró! bierzmy się do roboty, dajmy dobry przykład znajomym, niech widzą, że nie próżnujemy i staramy się być użytecznymi.

— Pani Janowa! — szepnął Mirek — proszę nam dać to drzewo, a my wam zaniemiemy do chałupy,

— O! moje robaczki drogie, czy to wam dźwigać ciężary!

— Nie ustąpię, musicie nam to oddać, bo chcemy wam ulżyć.

— Niech was Bóg błogosławi i wszystko dobre zsyła w życiu waszém.

Kazia z Mirkiem zanieśli drzewo i napowrót pobiegli ku lasowi. Tymczasem Pawełek, wnuk Janowej, wbiega zadyszany do chaty, wołając:

— Babulu! pies wściekły pobiegł drożyną.

— O mój Boże! biegnij, ehłopcze, na ratunek dzieciom, które teraz poszły w tę stronę. Weź kosior na długim kiju i wołaj po drodze o ratunek, ludzie ścinają drzewo, to ci dopomogą.

Pawełek, spory już wyrostek, w tój chwili pobiegł, napelniając las krzykiem. I wkrótce Kazia z Mirkiem pod opieką Pawełka powrócili szczęśliwie, prawie cudem ocaleni, bo już pies do nich dobiegał.

C. Falkowska.

— Ależ, wujaszku, to zupełnie co innego — mówiła Mania — ja w rzece widzę płynącą wodę, a w powietrzu nic a nic nie widać, tam nic niema, więc cóż płynie?

— Nic nie widać, ale to wcale nie znaczy, aby nic nie było. Czyż nie czujesz, oddychając, że coś w siebie wciągasz? To coś, to jest gaz, płyn taki niezmiernie nikły, rzadki, przezroczysty, więc go dojrzeć nie można, widzimy jednak doskonale, że rzeczywiście płynie, gdy porusza drzewa, trawy, gdy kapelusz komu zerwie z głowy.

— A! teraz już wiem — wołała Mania — Leonek dmucha na powietrze i porusza je, niby popycha, a ono zaczyna płynąć, uderza o mój domek z kart, jak woda uderza czasem o coś, i domek pada.

— Zrozumiałeś bardzo dobrze — rzekł wujaszek.

— Ale proszę wujaszka — spytał Leonek — czy to tam gdzieś daleko coś dmucha na powietrze? dlaczego ono płynie i taki się z tego wiatr robi?

— Musiałeś widzieć — odrzekł wujaszek — co się dzieje z mlekiem, gdy się na ogniu zagotuje. Choćby rondel był niepełny, mleko mocno rozgrzane, nagle się podnosi, rozdyma, kucharka dobrze musi pilnować, bo w jednej chwili z rondla wyleci. Otóż i z powietrzem bywa coś podobnego: gdy je promienie słoneczne rozgrzeją, zaraz ono w tём miejscu rozdyma się na wszystkie strony, popycha inne powietrze przed sobą i płynie, jak fala wodna.

— A to dlaczegoż wiatr bywa czasem taki zimny, jeżeli to ogrzane powietrze z wiatrem płynie? — spytała Mańcia.

— Ciepło porusza pierwsze fale powietrza, a te popychają inne przed sobą, już niekoniecznie ogrzane, jedne fale płyną za drugimi, przepływają czasem przez okolicę zimniejszą, oziębiają się, płyną ciągle dalej i niosą chłód z sobą. Trzeba także wiedzieć, że powietrze oziębia się zawsze szybko w tój samej chwili, gdy się rozdyma i rozrzedza. Wszak i ty nawet, dmuchając, zaraz je troszkę oziębiasz. Dlatego to zwykle się dmucha na gorące mleko. Gdy znów chuchasz, to składasz usta w taki sposób, że powietrze w tём miejscu się zagęszcza i ciepło z ust twoich się w niém na chwilę zatrzymuje.

— Jak to zabawnie, wujaszku — mówiła Mania — nigdy mi do głowy nie przyszło, że wiatr, to taka fala, co płynie jak woda, chociaż jój wcale nie widać. Dobrze ja mówiłam Leonkowi, że mój domek nie mógłby się przewrócić, gdyby go coś nie popchnęło.

— Poczekajcie — rzekł wujaszek — ja wam tu zaraz pokażę zabawną sztuczkę, obaczycie, jaki to silny wiatr można zrobić dmuchając.

Wujaszek przyniósł jajko i dwa kieliszki, jajko włożył w jeden z tych kieliszków, jak to widzicie na naszej rycinie, potem tak silnie i zręcznie dmuchnął, że jajko przeskoczyło z jednego kieliszka w drugi. Chciał potem jeszcze raz tę zabawną sztuczkę zrobić, ale mu się nie udało, jajko wyskoczyło wprawdzie z kieliszka, nie trafiło jednak do drugiego, tylko upadło na stół, rozbiło się i rozlało. Dopieroż to dzieci uśmieły się z wujaszka, który własną chustką do nosa jajko starł ze stołu, bo nie chciał, ażeby mama ten nieporządek obaczyła.

KRÓLOWA PERŁOWEGO PAŁACU.

Jadzia przechodziła raz z mamą obok sklepu zabawek i stanęła przy oknie, żeby się tym prześlicznym rzeczom przypatrzeć.

— Chodź, Jadziu, chodź — mówiła mama — nie możemy tak długo stać na chodniku, słońce już zachodzi, pora wracać do domu.

— Jeszcze chwileczkę tylko, moja mamuniu — prosiła Jadzia — niech ja te śliczności obejrzę. Ach! jaka to szkoda, że mama nie jest bardzo bogata i nie może tego wszystkiego kupić.

— Moja Jadziu — odrzekła mama z uśmiechem — żebyś była nawet najbogatsza, tobym ci przeciw tyłu zabawek naraz nie kupiła. Najpierw na takie rzeczy nieużyteczne szkoda marnować pieniędzy, a potem, gdybyś miała to wszystko, toby ci się bardzo prędko uprzykrzyło, i żadna nowa zabawka nie sprawiłaby ci przyjemności. Teraz, ile razy dostaniesz jaki podarunek na gwiazdkę lub na imieniny, cieszysz się nim przynajmniej przez czas jakiś, ale gdybym ci zakupiła od razu cały ten sklep, toby już na drugi raz nie było co kupować.

— Już jabym nie chciała wszystkiego razem, ale żeby mamunia miała dużo pieniędzy, to mogłaby codzień nową, prześliczną zabawkę kupić.

— Zmiłuj się, moja Jadziu, codzień nową! Toby się tego prędko zebrało takie mnóstwo, że nie wiedziałabyś, co z temi gratami robić. Uprzykrzyłaby ci się każda zabawa.

— Ach! moja mamo, czy to może być, żeby się komu zabawa uprzykrzyła? Żebym ja miała te wszystkie śliczności, co tu stoją w tém oknie...

— Tobys za trzy dni znudziła się niemi — rzekła mama — ale dosyć już tego oglądania, moja Jadziu, chodźmy do domu.

Jadzia westchnęła, a idąc z mamą, ciągle myślała o tém, czy to podobna, żeby piękne zabawki mogły się komu znudzić i uprzykrzyć? Przez cały wieczór stały jój ciągle w oczach te śliczności, gdy położyła się do łóżeczka, zaczęła znów myśleć i przemyśliwać, jaka to wielka szkoda, że na świecie niema naprawdę takich wieszczek, czarodziejek, jak w bajkach. Gdyby to ona na przykład miała wieszczkę za chrestną matkę! Wieszczka nie powiedziałaby pewnie, że szkoda marnować pieniędzy na piękne zabawki, bo czarodziejki nie potrzebują kupować nic za pieniądze, mają cudowne różdżki, to rzecz wiadoma, czarodziejka różdżką skinie i w téj chwili wszystko, czego tylko zażąda, już leży przy niej.

Szkoda, że to nieprawda, że to tylko w bajkach dla zabawy dzieci o takich dziwnych rzeczach piszą, powtarzała sobie nasza Jadzia, przewracając się w łóżeczku i oczki jój się kleić zaczynały. A wtém nagle coś jasnego, białego zamigotało przed nią, choć w pokoju ciemno było, bo mama świecę zgasiła. I obaczyła Jadzia jakąś panią, stojącą przy łóżeczku, taką śliczną i wspaniałą, że dziewczynka wcale się nie przestraszyła. Widziała wszystko doskonale, bo blask bił od téj postaci i zupełnie jasno się zrobiło w pokoju.

Pani ta miała suknię powłóczystą białą, błyszczącą, jakby ze srebrnego obłoku, na głowie koronę, przepy-

sznemi perłami wysadzaną, perłowy naszyjnik i trzymała w ręce małą laseczkę srebrną, owiniętą sznurem pereł. Patrzała na Jadzię ślicznymi oczyma i uśmiechała się do niej bardzo mile.

— Jak się masz, dziewczeczko — powiedziała piękna pani — ja jestem królowa perłowego pałacu, wieszczka czarodziejka, podśluchałam twoje myśli, a chociaż nie trzymałam cię do chrztu, wezmę cię chętnie w opiekę, bo mi się bardzo podobałaś. Powiedz mi, czego żadasz, a spełnię wszystkie twoje życzenia.

Jadzia w pierwszej chwili nie mogła słowa przemówić z wielkiego uszcześliwienia. Ona myślała, że czary są tylko w bajkach, a oto stoi przed nią prawdziwa wieszczka, z różdżką czarodziejką, w ręku i tylko patrzeć, jak ją obsypie różnemi darami.

— Ach, pani królowo — rzekła wreszcie Jadzia — ja jeszcze sama nie wiem, o co mam prosić, chciałabym mieć dużo, dużo ślicznych zabawek; zaraz ja pomyślę.

— Najlepiej pojedź ze mną, moja Jadziu, do mego perłowego pałacu, a tam wszystkie twoje życzenia się spełnią. Pojedziemy moim napowietrznym wozem.

I piękna pani podała rękę Jadzi, dziewczynka zerwała się z łóżeczka i ze zdziwieniem spostrzegła, że chociaż przed chwilą leżała w nocnej koszulce, teraz była zupełnie ubrana. Królowa perłowego pałacu prowadziła ją za sobą i po chwili Jadzia obaczyła wóz napowietrzny, którym miały jechać. Była to ogromna koncha z perłowej macicy, wysłana we środku łabędzim puchem, zaprzężone do niej sznurami pereł dwa duże, piękne łabędzie, zatrzepotały skrzydłami na widok królowej.

Królowa perłowego pałacu usiadła w tym ślicznym powoziku i Jadzię posadziła przy sobie, łabędzie rozwinęły skrzydła i wzniosły się w powietrze. Jadzia nic a nic się nie bała, bo wiedziała przecież, że pod opieką wieszczki nic jój się złego stać uie może. Wóz napowietrzny leciał bardzo szybko, leciuteńko, bez najmniejszego szelestu i wstrząśnienia, Jadzi się zdawało, że ona sama ma skrzydła i fruwa.

(d. c. n.)

SZARADA.

(Od Nuni z Kącika dla Nuni z Poninki).

Pierwsze jest wyrażenie bardzo poufałe,
A drugim się odzywa kaczek plemię całe;
Wszystko razem jest owoc, pokaźny i duży,
A jednak do jedzenia nikomu nie służy.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 40-go.

Zadania konikowego:

Kruk krukowi oka nie wykole.

Skrzynka do listów.

Tuja ucieszyła nas doniesieniem, że obie dłuższe powieści, drukujące się obecnie w „Wieczorach”, jój się podobają. Autorka Reginki przygotowuje nową powiastkę dla naszych czytelników,

druk jęj zapewne rozpoczniemy na początku roku przyszłego. Autor Obrazów historycznych czeka na ukończenie stosownych rysunków, poczem zaraz wystąpi z dalszym ciągiem.

Złotą Wierzbę przepraszamy po tysiąc razy, 2 rs. na kościół praski oddawną odebrano i oddano według przeznaczenia, przez nieuwagę tylko nie wydrukowano wzmianki w miejscu właściwem.

Pliszka z nad Gopła opóźniła się z robótką, tu więc już tylko zaznaczamy, że była bardzo dobra, oddano ją także ubogim dzieciom. Przykro nam bardzo, że pomimo przedłużenia terminu tego konkursu, dużo robótek ładnych i starannych nadeszło za późno.

Niezapominajka z nad Horynia byłaby z pewnością nagrodę otrzymała, żeby przesyłka jęj była nadeszła o kilka dni wcześniej. Na nieszczęście odebraliśmy ją po niewczasie, tu więc zaświadczamy, że robótki Niezapominajki, Wołynianki, Figlarki i Jaskółki, były ładne i dostały się ubogiej dziatwie.

Sarenkę z nad Moroczcu upewniamy, że redakcyą nigdy się za to nie gniewa, jeśli ktoś szczerze wypowiada, jakie przedmioty są dlań w Pisemku pożądane. Przeciwnie, radzibyśmy poznać upodobania czytelników i stosować się do nich. Opisy krajów, a zwłaszcza kraja rodzinnego, są rzeczywiście bardzo zajmujące, zawsze też, o ile miejsca na to starczy, dział ten staramy się obszernie prowadzić. Wkrótce podamy „Listy z Ojcowa”, a podróże w różnych częściach świata podajemy stale. Odpowiedzi na zadania konkursowe z historii i literatury odczytuje i ocenia kierowniczką Pisma. Liściki z opisami okolic są zawsze pożądane.

Topolka srebrna bardzo ładny wybrała sobie pseudonym, a na zimę stosowniejszy od poprzedniego, który nam zawsze slinkę do ust sprowadzał. Cieszymy się, że „Garbusek” podoba się kochanym czytelnikom, powieść ta coraz więcej będzie zajmująca w dalszym ciągu. Panienci, o które Topolka zapytuje, pisują pod pseudonymami Czarnuszki i Bładęj Różyczki.

Świtezianka przysłała bardzo ładną robótkę, szkoda wielka, że się tak spóźniła. Na drugi raz oznaczymy dłuższy jeszcze termin, bo żal nas zbiera wielki, odbierając tak dużo ślicznych robótek po niewczasie. Zatracony na poczcie Nr. wysłano powtórnie, nigdy tego nie odmawiamy, prosimy tylko o wczesne upominanie się, bo po upływie dłuższego czasu może N-rów zabraknąć. A czemu to Fregata nigdy się nie odezwie? wiemy jednak, że „Wieczory” chętnie czytuje. Autorką „Garbuska” jest p. Świderska, której powieści nieraz już w Piśmie naszym były drukowane.

Figielkowi i Berze słuckiej donosimy, że wcale nie odgadli prawdziwego nazwiska ani miejsca zamieszkania Sarenki z nad Moroczcu. Niechże sobie lepiej główki nałamią.

Muszelce z nad Teterowa wcale się nie dziwimy, że w czasie wakacyj nie miała ochoty siedzieć nad robótką. Ale teraz w jesieni i w zimie może to wynagrodzić Muszelka, robótki dla ubogich i bez konkursu są przyjmowane w naszej redakcyi.

Czarnuszka z Mroczkowa pisze tak ładną kaligrafią, że chyba z figlów przeprasza, za brzydkie pisanie. A może kochana Czarnuszka sądzi, że duże literki, w dwóch linijkach stawiane, zawsze brzydko muszą wyglądać? My zaś sądzimy przeciwnie, iż tak właśnie jaknajdłużej pisać potrzeba dla nabrania wprawy.

Firletka biała odezwiała się przecież, a dawnośmy na to czekali. Prenumerata za Firletkę była już na cały rok opłacona, więc rs. 3, dołączone do listu, zaliczono na rok następny.

Prymalka może być spokojna o swoją łamigłówkę, nie będzie wydrukowana z omyłką, bo wszystkie łamigłówki są sprawdzane przed oddaniem do druku.

Pani Maryi Oktawii. Nadesłane opowiadanie, „Wspomnienia młodości”, ma dużo zalet, styl gładki, myśli piękne, są jednak i strony ujemne. Naprzykład trudno zrozumieć, dlaczego Marynia tak gorzkiego doznała zawodu i rozczarowania. Wszak zamiary jęj były znaczne i szlachetne, chyba więc nieumiejętnie brała się do ich wykonania. Tymczasem młode czytelniczki mogłyby wnosić, że już sam zamiar podobny jest niepotrzebnem i nieużytecznem marzycielstwem, a tego autorka zapewne nie miała na celu.

„Kochany Zegarku! Zapewne jesteś bardzo akuratywny, kiedy wybrałeś taki pseudonym, więc bądź tak dobry i napisz do mnie. Ja się nazywam Staś, mam lat 8, mieszkam niedaleko Żytomierza, twój Kruk.”

„Droga Sarenko z nad Moroczcu! Odgadłam prawdziwe twoje nazwisko, przeczytawszy liścik do Brzózki płaczącej i nabrałam ochoty napisać do ciebie. Nie wiem, czy odgadniesz odrazu, kto jestem, ale poprobuje. Spotykałyśmy się parę razy w naszym sąsiedztwie, a mieszkamy o cztery mile od was, z drugiej strony Kopyls. Chciałabym cię poznać bliżej, ale wątpię, czy się prędko spotkamy. Sciskam cię serdecznie, Paproć litewska.”

„Kochana Sarenko z nad Moroczcu! Chciałabym bardzo wiedzieć, czy jeszcze pamiętasz naszą krótką znajomość. Widziałam cię po raz pierwszy na imieninach w sąsiedztwie, gdzie było kilkoro dzieci w naszym wieku i bawiliśmy się wcale dobrze. Mam kilka siostrzyczek, uczę się w domu z siostrami. Przesyłam serdeczne pozdrowienie tobie i siostrzyczce, Lilijka wodna.”

„Kochane Jastrzębięta z nad Wieprza! Zdaje mi się, że was odgadłam. Najmłodszy z was nosi imię Złotego pacholecia, ale się je wymawia tak, jak imię ostatniego z książąt Mazowieckich, Drugi ma imię świętego apostoła Prus, a Jastrzębiczką najświętsze z imion kobiecych. Wasze stare gniazdo jastrzębie leży nad samym Wieprzem, wszak zgadłam? Jeżeli tak, całuję was serdecznie, bo jestem waszą kuzynką, napiszcie, czy zgadujecie moje imię? Siekierka.”

„Kochana Auryklo! Donieś mi cośkolwiek o sobie. Ja mam rok 13 ty, na imię mi Jadwiga, mieszkam w gub. Plockiej, mam liczne rodzeństwo. Przesyłam ci uściśnienia, twoja Tuja”. (Zwracamy uwagę Tui, że pisze się *przesyłam*, a nie *prześłam*.)

(przyp. red.)

„Kochana moja Kamelio różowa! I mnie też śliczny twój pseudonym bardzo się podoba, rada więc będę korespondować z tobą. Czy piszesz co na nowy konkurs? ja już napisałam. Serdeczne śię ci uściśnienie, twoja Sarenka z nad Moroczcu”.

„Kochana Pokrzywo! Mani Cz. nie znam osobiście, lecz wiem o jęj imieniu i nazwisku. Za to Łatawiec jest mi dobrze znany a i p. J. T. raz widziałam. Czy z powodu uszczypliwości taki wybrałaś pseudonym? Sarenka z nad Moroczcu”.

„Kochany Łatawczu! Ponieważ obrałeś sobie pseudonym, należący uprzednio do mego brata, radbym się z tobą bliżej zapoznać. O mnie musiałeś już trochę słyszeć z odpowiedzi naszej kochanej redakcyi, ale jeżeli zechcesz wiedzieć coś więcej, to ci napiszę. Całuję ciebie, Figielek”.

„Kochany Zygmusiu! Odgadłeś mój pseudonym. Ja też za parę miesięcy wstąpię do szkół w Słucku, będziemy więc kolegami. Czy to nie twój braciśzek Stefuś S. z kowieńskiej gub? Nie zapomnij o mnie, Figielek”.

Złożono w redakcyi. Zosia St. dla biednych dzieci kop. 50. Janka i Irenka Z. na wpis dla biednych uczniów rs. 5.

Numer 19-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA:

Ogródki Froeblovskie w Szwajcaryi. Notatki z podróży, przez Maryą Weryho. Kartki z geografii fizycznej, przez Wacława Nałkowskiego. Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (c. d.) Walny Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. Korespondencya z Pragi Czeskiej, przez Ludwika Strahla. Krytyka i bibliografia: a) Aleksander Walicki. Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincjonalizmy. b) Podróże i przygody po Oceanii słynnego admirała Juliusza Dumont D'Urville'a oraz innych odkrywców, skreślił Izidor Poche, Dr. Wł. S. Zakłady naukowe, przez Jerzego Kühna.